

Krzyk zwycięstwa

Do Infearnite powędrowała nagroda główna w postaci 2500 zł oraz sesji nagraniowej. Drugie miejsce zajęła warszawska grupa My Own Wasteland (nagroda - 1000 zł), a trzecie - Carol Markovsky z Makowa Mazowieckiego (500 zł).

Podczas finału festiwalu w Łódzkim Domu Kultury 12 kwietnia wystąpiły zespoły, które zostały wyłonione w lokalnych eliminacjach w Radomsku, Wieluniu, Bełchatowie, Skierniewicach, Kutnie i Łodzi. Poza zwycięzcami na scenie pojawiły się także Atme z Wrocławia, Bruklin i Konkubent z Łodzi oraz Vestige z Lublina. Jury przewodniczył Piotr Metz, dziennikarz muzyczny i prezenter Programu Trzeciego Polskiego Radia.

- Nie lubię konkursów, bo muzyka to nie zawody sportowe - zaczął Piotr Metz, ogłaszając werdykt jury. Rzeczywiście w tej dziedzinie trudno ocenić obiektywnie, kto był lepszy, kto gorszy. Można brać pod uwagę poziom muzycznego zaawansowania, instrumentalną wirtuozerię, pomysłowość aranżacji, sprawność wykonania, charyzmę wokalisty, ale i tak ostateczny werdykt będzie wypadkową subiektywnych wrażeń, jakie wykonawcy wywarli na członkach jury. Ktoś może dodać: - i tego, który z jurorów ma większą siłę przekonywania. A trzeba było obiektywnie ocenić zawodników, którzy w pewnym sensie startują w różnych konkurencjach, bo tak się złożyło, że każdy wykonawca prezentował (czasem skrajnie) odmienny styl muzyczny.

Trzeba przyznać, że olśnienie, odkryć czy szczęk opadających na podłogę nie było. Wygrał zespół, który zrobił najlepsze wrażenie - klasyczna, czysta, choć ekstremalna propozycja. Infearnite to gęste, szybkie, ostre granie z growlującym (śpiewającym trudną, gardłową techniką) wokalistą. Trudna w odbiorze muzyka wymaga technicznej sprawności, zgrania, wykonawczej precyzji i to członkowie Infearnite mieli opanowane. Mimo sypiących się kaskad głośnych dźwięków dało się rozróżnić formę utworów, rytmiczne smaczki, współbrzmienia. Ich prezentacja była klarowna, a o to w tym gatunku niełatwo. Na uznanie zasługuje również wokalista, który po pierwsze nie dał się zagłuszyć ryczącym gitarom i perkusji, a po drugie wytrzymał ten morderczy dla aparatu głosowego wysiłek. To on w znaczącym stopniu kształtował przekaz. Słowem, panowie grają to, co lubią, nie przejmując się popularnością, i robią to dobrze.

Szczerością, swobodą i energią zaimponowało również trio My Own Wasteland poruszające się w klimatach ostrego alternatywnego rocka i nu metalu. To był występ pełen emocji kreowanych głównie przez śpiewającego gitarzystę o ciekawym mocnym głosie i dużych możliwościach wokalnych. Zresztą również żywiołowy basista zupełnie nieźle radził sobie w chórkach, aż szkoda, że nie można było posłuchać go więcej. Najślabzy element koncertu to bębny - proste, siłowe. Wydaje się, że granie w trio wymagałoby większej finezji i myślenia.

Absolutnie niecodzienna propozycja zespołu Carol Markovsky przekonywała muzyczną dojrzałością. Przypomniał mi się big beat i folk lat 60. i 70. XX wieku - jak byśmy słyszeli Czerwone Gitary albo Niebiesko-Czarnych, trochę pobrzmiwały też klimaty The Doors. Mocną stroną tego występu były dobre aranżacje, sprawnie odegrany materiał i charyzmatyczny wokalista w hippisowskiej koszuli. Śpiewał czysto, ciekawym mocnym głosem i miałem wrażenie, że nie pokazuje pełni swoich możliwości. Widać było, że granie tego repertuaru, który trąci trochę myszką, sprawia im prawdziwą przyjemność. Cały czas zastanawiałem się, czego ci młodzi ludzie słuchają na co dzień, skoro bawi ich big beat.

Nie przekonał mnie otwierający koncert Atme, wyróżniony przez jury za spójność prezentacji

scenicznej. Indiańsko-szamańskiego anturażu - wokalista malujący się białą farbą, etniczne bębny, pióra i amulety - nie wytrzymała muzyka, słaba aranżacyjnie, nieporadnie zagrana, „cienka” brzmieniowo. Czuło się, że muzykom zależy na zbudowaniu atmosfery, dramaturgii, ale według mnie to się nie udało, bo zaczęli od końca. Podstawą klimatu powinna być muzyka - dobrze skonstruowana struktura utworu, współpracujące ze sobą partie poszczególnych instrumentów, transowy rytm. Tego wszystkiego zabrakło, żeby emocje z ich głów trafiły do słuchaczy. Sytuację pogarszał wokalista, śpiewający z wysiłkiem i często nieczysto. Szamanom nie starczyło autorefleksji i wyobraźni muzycznej - dlatego nie pojawiła się magia.

Scenicznej magii nie udało się wykreować również Konkubentowi, choć z zupełnie innych powodów. Bluesrockowe utwory, zagrane z siłą i precyzją, aranże dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, świadomie kształtowane brzmienie, do tego dobry, dynamiczny wokal. To jednak za mało, by przekonać wszystkich członków jury, zrobić na nich wystarczająco dobre wrażenie. Może muzykom zabrakło pokory i potraktowali swój występ jak formalność, może zaważyły nieco pretensjonalne teksty, może mieli słabszy dzień.

Ale i tego poziomu nie osiągnął Bruklin - drugi łódzki zespół w finale Rockowania. Szkoda zupełnie niezłego wokalisty, bo nie dostał wsparcia od kolegów. Proste rockowe piosenki wymagały większego urozmaicenia aranżacyjnego, kombinowania z dźwiękami. A tymczasem gitary łupały akordy, bardzo często niepotrzebnie się dublując. Efekt był mało porywający. Z kolei Vestige przesadził z pomysłami tak jakby muzycy w każdym utworze chcieli zmieścić wszystkie znakomite brzmienia i riffy, które przysły im do głowy. Zwariowali na punkcie elektronicznych zabawek, które grają za nich. Czasem w tym progrockowym graniu była energia, przestrzeń, ale wszystkie elementy nie składały się w całość spójną aranżacyjnie i dramaturgicznie. Słychać, że szukają różnych rozwiązań, ale nadmiar im zaszkodził - w rezultacie ich kompozycje stanowią tylko zlepek fajnych kawałków, przy których przy okazji blado wypadły wysiłki wokalisty.

To moje wrażenia po wysłuchaniu siedmiu finalistów VI Festiwalu Muzycznego Rockowanie organizowanego przez Łódzki Dom Kultury. Wymienione mankamenty nie przesłaniają jednak prostej radości z tego, że tylu młodym ludziom chce się grać, że mają w sobie energię, talent i siłę, by nad sobą pracować, że mieliśmy ich okazję posłuchać.

Bogdan Sobieszek